

Po premierze monodramu Krystyny Jandy w jej prywatnym Teatrze Polonia

ZAWSZE CELUJĘ WYSOKO

Teatr Polonia w Warszawie, prywatne przedsięwzięcie Krystyny Jandy, to najmłodsza polska scena zawodowa. I choć prawdziwy bój o jego istnienie dopiero się zaczyna, to trudno nie być optymistą, widząc rezultaty uporu, zapobiegliwości i pomysłowości znanej aktorki. Postawiła ten teatr na jedną, głównie finansową kartę, angażując w jego uruchomienie własne pieniądze, ale zjednała sobie także wielu sojuszników. W błyskawicznym tempie przeszła

Rozmowa z KRYSYNA JANDĄ

DZIENNIK ZACHODNI: Dziękuję, że zgodziła się pani z nami porozmawiać, choć... trochę dręczy mnie sumienie. Właśnie zeszła pani ze sceny po dwugodzinnym sam na sam z publicznością w spektaklu „Ucho, gardło, nóż”, który aż kipi emocjami, a w dodatku to trzecie po premierze przedstawienie, więc pewnie stres jeszcze gdzieś się w pani kołata?

KRYSYNA JANDA: Jestem po spektaklu, a wtedy wszystko się uspokaja. Nie ukrywam, przed tą premierą czułam wyjątkowe napięcie, bo to wyjątkowy tekst; kontrowersyjny i brutalny w wielu warstwach, nie tylko językowej; prawdziwe wyzwanie. Miałam obawy, jak publiczność przyjmie i moją bohaterkę, i tę historię.

DZ: Ale udało się. Obserwowałam dziś publiczność i obserwowałam siebie. Pani kieruje naszymi reakcjami od pierwszej chwili, a my idziemy za panią jak po sznurku. Przez pierwszy kwadrans mamy tylko obawy, czy możemy się śmiać; to przecież opowieść o tym, co wojna robi z tak zwanym normalnym człowiekiem!

KJ: Właśnie! Ten śmiech to mój problem. Publiczność powinna się śmiać, ale śmiech powinien gwałtownie gasnąć w wybranych momentach. To moja praca, walka, cel – poda-

nie tekstu na poziomie, odpowiednim do znaczenia problemu. Wczoraj wyjechała z Warszawy autorka książki, na postawie której zbudowałam monodram – Vedrana Rudan. Po premierze powiedziała mi, że odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała śmiech publiczności, bo marzyła o nim, kiedy pisała swoją historię (choć potem zaczęła się zastanawiać, czy publiczność nie śmieje się z kolei za często). Z szokiem, z powojenną traumą można rozprawić się na wiele sposobów; ona uważa, że złe wspomnienia można oblaśkawić także obracając je w wisielczy żart. Rzecz w tym, że w Chorwacji jeszcze nikt się z tej opowieści nie zaśmiał, a monodram grany jest od trzech lat. Jeszcze jest za wcześnie, jeszcze nie pora. Vedrana czeka na dzień, kiedy publiczność chorwacka odważy się śmiać w czasie przedstawień granych właśnie tam. W tej chwili czeka na premierę nowojorską, zaczynają się też próby we Francji. Powiedziała mi, że z warszawskiej Tonki w moim wykonaniu jest bardzo zadowolona.

DZ: Mam wrażenie, że do sukcesu spektaklu przyczyniło się także miejsce prezentacji. Bo ten teatr to jest jakieś niezwykle miejsce. My rozmawiamy w dekoracjach, na widowni dalekiej siedzą ludzie i... też dyskutują. Nikt niczego nie zamyka, nikt nie każe odbierać plaszczy z szatni. Pachnie kawą. Wygląda na to, że pani nie

od projektu do realizacji. Po szesnastu miesiącach Teatr Polonia uruchomił scenę kameralną i przedstawił dwie premiery, ciepło przyjęte przez publiczność i znakomitą większość recenzentów. Teraz Polonię czeka kontynuacja prac remontowych i... kolejne przedstawienia na afiszu. Otwarcie Teatru Krystyny Jandy nie było tylko sensacją towarzyską (choć trudno tego nie zauważyć); było przede wszystkim dobrą wróżbą dla tych, którym zależy na rozwoju polskiej kultury.

jest właścicielką, tylko gospodynią.

KJ: Nam też nie chce się stąd wychodzić, choć poza prościutkim, eleganckim (prawda, że jest elegancki?) holem, nasza Polonia ciągle wygląda jak plac budowy.

DZ: Nam, to znaczy komu?

KJ: Pracującym tu i gościom na widowni, na szczęście, także. Tak naprawdę to ten teatr prowadzą trzy osoby. Mniej się nie da.

DZ: Ależ tu jest cała gromada obsługi!

KJ: Lgną do nas wolontariusze, studenci, przyjaciele. Nie wychodzę ze zdumienia, że to wszystko się kręci, ale najwyraźniej kręci się! Pewnie dlatego, że nikt z nas nie ma w sobie urzędniczego ządęcia.

DZ: Skąd w pani tyle desperacji i odwagi? Pół Polski pani kibicuje, a pół liczy to, co pani sprzedała i z czego zrezygnowała.

KJ: A ja nie mam czasu śledzić, kto i co mi liczy. Mam na głowie poważniejsze problemy. Inwestycyjne i organizacyjne; artystyczne, paradoksalnie, na razie nas nie dręczą. Co zaś do desperacji, to myślę, że desperatką mogłabym się czuć wtedy, gdybym była sama i opuszczona. Ale wokół mnie pełno ludzi; przyjaciele i rodzina sprzyjają moim pomysłom. Mama, siostra i córka pomagają, do teatru ciągle przychodzą jacyś ludzie z ofertą wsparcia. Ale najważniejsza jest to, że moi widzowie mnie nie opuścili. Zjawili się jak jeden mąż, od pierwszego wie-

czoru, solidarnie i ufnie, życząc nam szczęścia i uznając to miejsce za swoje. Teraz martwię się tym, że kończą się zapasy finansowe, a huk roboty jeszcze przed nami. Duża scena – przysze serce tego teatru – prawie nie ruszona. A za to pięknie zaprojektowana, na 290 osób, amfiteatralnie, ze świetną widocznością i akustyką.

DZ: Pani się zna na projektach, murowaniu, klimatyzacji?

KJ: Przez ten rok zdążyłam nauczyć się wielu rzeczy i nauczę się kolejnych, jeśli będzie trzeba. No i ja mam talent do wyszukiwania trudności i komplikacji. Celuję wysoko; zawsze i w każdej sprawie.

Rozmawiała:
HENRYKA WACH-MALICKA



Krystyna Janda w scenografii do spektaklu.